



Maciej Bukowski "Mesjasz"

Fahrenheit Crew

Bóg Wszechmogący dba o swoje stworzenie, dlatego co tysiąc lat zsyła między ludzi pasterza, który wskazać im winien właściwy kierunek na zamglonej drodze życia. Mesjasz ten, choć należy do świata wiecznego, w momencie zejścia między śmiertelnych staje się im w człowieczeństwie podobny. Ale w przeciwieństwie do zakutych w kajdany żywota ludzi ogranicza go jedno zaledwie prawo: prawo siedmiu cudów. Otóż przy każdym zniebozstąpieniu otrzymuje moc uczynienia siedmiu zjawisk, dzięki którym nieposłuszni Bogu ludzie uwierzą w jego święte posłannictwo. Siedem cudów - tyle musi wystarczyć, aby dzieci marnotrawne nawróciły się na drogę swego Ojca.



ilustracja: Milena Zaremba

W tym tysiącleciu między brzozaami się pojawił, w pięknym gaju, niedaleko głośnej szosy, po której pochłonięte życiem istoty pędziły ku swym nieistotnym celom. Pierwszym, co usłyszał, był szum liści i odległy świergot ptaków - pokochał to natychmiast. Pierwszym, co zobaczył, był błękit nieba ponad strzechą zielonych liści - pokochał go natychmiast. Jednak wiedział, że to nie miejsce dla niego, nie było w nim bowiem choćby jednego człowieka.

Spojrzał po sobie i przesunął dłońmi po białym materiale luźnej szaty, która okrywała jego zdrowe ciało. Nagie stopy zapadały się w splotach leśnego poszycia. Włosy i broda jego niczym płomień świecy mieniły się ognistożółtą barwą, zaś skrywające głębię równą oceanom oczy przyjmowały lazur ich tylko wodom przybrzeżnym podobny. Człowiekiem był, lecz jakże boskim w swej harmonijnej fizjonomii.

Nie wiedział, dokąd pójść, więc wybrał kierunek Gwiazdy Polarnej. Szedł wolno między smukłymi pniami brzoź, a do uszu jego docierał coraz wyraźniejszy szum. Gdy wyszedł z lasu na pustą przestrzeń, zdziwił się niepomieranie: szeroki pas ziemi w przeciwstawne strony z dużą prędkością przemierzały blaszane pojazdy.

Staął tuż przy drodze, uważając, aby nie zderzyć się przypadkiem z którąś z maszyn, i z fascynacją obserwował ten dynamiczny obraz. Mknący zaś w swych kosztownych autach ludzie zaskoczeniem reagowali na wariata w białej szacie, który stał w połowie krajowej autostrady i wyglądał, jakby chciał się rzucić komuś pod koła. Gdy jego postać śmignęła im przed szybą, zastanawiali się z politowaniem, iluż to dziwaków można spotkać w świecie i jak dobrze się stało, że podobne szaleństwa im do głowy nigdy nie przyszły.

Mesjasz stał tak kilkadziesiąt minut, ale w końcu postanowił ruszyć dalej. Nie wiedział, skąd ci wszyscy ludzie wyjechali i dokąd zierają, lecz jako że pędzili w obu możliwych kierunkach, oba te kierunki musiały prowadzić do ich siedlisk. Poszedł więc w prawo wraz z nurtem samochodów.

Maszerował długo, ale w dobrym kierunku, ponieważ co jakiś czas białe napisy na dużych tablicach oznajmiały bliskość miasta Jentburg. W drodze cieszył się widokiem czystego nieba, delikatnymi podmuchami wiatru i żywą przyrodą kwitnącą poza pasem wyjałowionej jezdni. W końcu na horyzoncie zamajaczyło skupisko drapaczy chmur, które wyrastały ponad morzem dużo niższych zabudowań.

Przemierzywszy wiele przecznic miejskich, ujrawszy multum budowli i placów, mesjasz dotarł wreszcie do ścisłego centrum, gdzie rozmiary biurowców zapierały dech w piersi. Jakkolwiek okazało się, że ludzie budowali w tych czasach, niestety, ich architektura nie odznaczała się takim wyrefinowaniem i ozdobnością jak kiedyś. Proste, szklane bryły, imponujące jedynie swą wysokością, nie równały się z pałacami królów czy świątyniami Boga Jedynego, do których dawniej przykładano największych starań.

Mesjasz wszedł na wyłożony kostką deptak, którego środkiem biegł szpaler ozdobnych drzewek. Obraz ulicy odbijał się niewyraźnie w długich szybach, za którymi widać było dziesiątki przedmiotów zbytku. W tym momencie jednak to nie sklepowe witryny przyciągały ogólną uwagę, ale dziwak w białej szacie, który bosko kroczył między zdumionymi ludźmi i wyglądał jak żywcem wyjęty z jasełek.

Mijający go przechodnie patrzyli nań ze skrzywionymi lub rozbawionymi minami, a on im wszystkim odpowiadał najzyczliwszym z uśmiechów. Kilkukrotnie pytali go, czy gra w jakimś przedstawieniu albo uczestniczy w akcji społecznej, ale on za każdym razem grzecznie zaprzeczał i podkreślał, że jest zesłanym przez Boga mesjaszem, co w najlepszym wypadku wprawiało przechodniów w dobry humor. W końcu uznał, że już wystarczająco napatrzył się na przedstawicieli tego tysiąclecia i postanowił odnaleźć ich króla. Jednak nikt z pytanych nie był w stanie mu pomóc – jedni kręcili głową, robiąc przy tym zdumione oczy, inni najzwyczajniej ignorowali go i szli we własnym, sobie tylko znanym kierunku. Dopiero gdy dotarł do wąskiej uliczki zastawionej ciemnozielonymi kontenerami na śmieci, zdołał nawiązać rozmowę z grzebiącym w nich człowiekiem:

— Witam cię, mój bracie. Czy mogę o coś zapytać?

Mężczyzna wynurzył się ze śmietnika i spojrzał na dziwaka, który uśmiechał się tak, jakby mu obiecano złote góry. Pomacał się po nieogolonej twarzy i odparł startym przez lata picia głosem:

— Wal, blondasku. Pytać zawsze można.

Mesjasz uklonił się w podzięcie i zadał chyba najbardziej absurdalne z pytań:

— Kto jest twoim królem?

Pijaczek wydał jeden tylko dźwięk:

— Hę?

— Mam na myśli tego, który włada tą krainą — sprecyzował mesjasz.

— Nie wiem, o co ci się rozchodzi, ale widzę, żeś jest trochę stuknięty. Ale jak chcesz, żeby stary Hermes ci odpowiedział, to się nie zawiedziesz. Więc nie ma ci już u nas żadnego króla. Teraz są politycy.

— Politycy? — zdziwił się. — A cóż to, jakaś nowa klasa?

— Gdzie tam! — zawołał z rechotem pijaczek. — Klasy to oni żadnej nie mają! Ot, zwykła banda, na władzę łasa.

Mesjasz nic nie mógł z tego zrozumieć.

— Czy to jacyś uczeni? Mędrzy tego narodu? — dociekał ze zmarszczonymi brwiami.

Odpowiedział mu wybuch suchego śmiechu.

— Zabawnyś, przyjacielu! Oni są tak uczeni, jak ja bogaty, i tyle ci powiem. Wiedzą jedynie, szubrawcy, jak pieniądze od ludzi wyciągać.

— Kimże więc oni są? Jak ich odnajdę?

— Jak chcesz ich odnaleźć, to jedź do parlamentu w stolicy. Ale kim są, to ci nie powiem, bo sam tak naprawdę tego nie wiem. I wydaje mi się, że prócz nich samych nikt tego dobrze nie wie.

Im więcej mesjasz dowiadywał się od tego człowieka, tym mocniej się jego słowom dziwił.

— Nie znacie własnych władców? W takim razie jak doszli do rządów i dlaczego się przy nich utrzymują?

— Dzięki kłamstwom i przekrętom do władzy doszli. Oszukują naród jak się patrzy — bulwersował się łapserdak. — Nie ma człowieka, co by później na nich nie kłął.

— Czemu więc nie obalicie złej władzy i nie obierzecie nowej, cnotliwej?

— A bo teraz mamy czasy demokracji i wszystko robi się demokratycznie. Nie można ich tak zwyczajnie obalić. Ale za parę lat będą wybory; pewno rządy zdobędą tacy sami, bo to jak wybór między chorobą i wypadkiem, ale przynajmniej ludziska w głosowaniu się wyżyją i na chwilę będzie spokój. Jak tak o tym pomyślę, to może i przydałby się jakiś król - takiego skróciłoby się o głowę i

następny już by nie gadał, co mu ślina na język przyniesie! Widzisz, niepotrzebnie się przez ciebie zdenerwowałem. Po co w ogóle pytasz o takie rzeczy?

Nieznajomy wyjaśnił z ukłonem:

— Ponieważ jestem mesjaszem Boga i muszę błagać twego władcę, aby nawrócił swój lud na właściwą drogę.

Pijacek patrzył na niego ze szczerą kpina i - uświadomiwszy sobie, że on wcale z tym „mesjaszem” nie żartuje - wybuchnął śmiechem tak obezwładniającym, że oprzeć się musiał o kontener.

— Poważnie? Jesteś od Boga? — naśmiewał się. — To może poprosisz go o jakiś cud dla mnie?

— Właściwie to mam prawo do siedmiu cudów — padła szczerą odpowiedź.

Hermes spoważniał.

— Ta? — podjął z kpina, ale i cieniem ukrytej nadziei. — To w takim razie spraw, żebym już nigdy nie był biedny.

Mesjasz patrzył na niego przez chwilę, ale zaraz odrzekł, kręcąc z politowaniem głową:

— Nie jestem w stanie tego dokonać.

— Nie? — zdziwił się z krzywą miną Hermes. — To jaki z ciebie mesjasz? — Zaśmiał się ponownie, lecz tym razem z dużą dozą złośliwości.

— Nie mogę tego zrobić, ponieważ ty nie jesteś biedny.

Hermes uspokoił się i - już całkowicie zdezorientowany - zapytał:

— Jak to?

Mesjasz wskazał na jego postać.

— Widzę, że masz na sobie ciepłe i niepostrzępione odzienie. Jesteś zdrowy i nie głodujesz. Po zapachu wnioskuję, że wczoraj bawiłeś się przy alkoholu. Czujesz się biedny, ponieważ pragniesz więcej, ale to wcale nie oznacza, że biedny jesteś.

Pijacek lustrował go przymrużonymi oczami i nie wiedział, jak na to odpowiedzieć; choć w głębi duszy skłonny był przyznać mu rację, w żadnym wypadku nie dałby temu wyrazu.

— Zbyt to pokrętnie, jak dla mnie. Jesteś jakimś filozofem, czy co? Tacy to potrafią tylko gadać wyniośle i dupę zawracać...

— Bo czynienie spoczywa na tych, do których swe słowa kierują — przerwał mu uprzejmie mesjasz.

— Hej, może zamiast się wymądrzać, zajmiesz się czymś pożytecznym? Chyba miałeś szukać jakiegoś tam króla? Ja znam tylko tych, co rządzą ulicą.

— Więc kto rządzi ulicą?

— Faust ze swoją bandą — odparł Hermes, chcąc już pozbyć się irytującego rozmówcy.

— A gdzie ten człowiek przebywa?

— Jest właścicielem klubu „Nigdy Dziewica”, jakieś cztery przecznice stąd. — Wskazał palcem kierunek. — Gdybym miał jakiś grosz, sam bym poszedł się tam zabawić... — Urwał, gdy mesjasz ujął w dłonie jego prawicę i powiedział z wdzięcznością:

— Dziękuję ci, stary Hermesie. Oby twoje czyny w życiu przyniosły dużo dobrego tobie samemu, jak i otaczającym cię ludziom. — Po tych zagadkowych życzeniach odwrócił się i ruszył do wspomnianego klubu.

Hermes pozostał w miejscu i jeszcze długo główkował nad tym, czy ten człowiek naprawdę był tak nienormalny, czy po prostu stroił sobie żarty.

Niedługo zajęło mesjaszowi dotarcie do wspomnianego przez żebraka lokalu. Chociaż nie zapadła jeszcze noc i życie przybytku dopiero się rozkręcało, ujrzał wiele przywodzących o rozpacz rzeczy. Przykładowo nie potrafił zrozumieć, dlaczego mężczyzna w skórzanej kurtce podli się pijaństwem i niewzruszony upokorzeniem leży w błocie, gdzie zostawili go dwaj rośli ochroniarze. Współczucie wywołał w nim również widok prostytutek, których upadłe życia odcisnęły piętno tak w spojrzeniu, jak i w samym zachowaniu. Szybko stał się obiektem zainteresowania z ich strony, chociaż zamiast pieniędzy domagały się ze śmiechem, aby podwinął „tę fikuśną szatę”, jak to formułowały. Gdy spróbował im wyjaśnić, że powinny się zmienić, ponieważ hańbiąc swe ciała, kalają również duszę, odpłaciły mu agresywnymi wyzwiskami i mściwym rechotem. Odszedł więc od nich i w poszukiwaniu informacji zbliżył się do grupki młodzieńców, którzy stali na uboczu, przy siatce ogradzającej klubowy parking.

Zauważyli go z daleka i przywitani z szyderczymi uśmiechami na twarzach.

— Czego chcesz, dziwaku? — zapytał jeden.

— Może jest jakimś zbrojeńcem i lubi dostawać po pysku w takich śmiesznych ciuszkach? — wtrącił inny.

Mesjasz ukłonił się i zaprzeczył:

— Nie, nie jestem zbrojeńcem. Ale chciałem dowiedzieć się, gdzie mogę odnaleźć osobę, która tu rządzi. Pomożecie mi, bracia?

Chłopak przyjął to z otwartymi w zdumieniu ustami, a jego kompan stwierdził ze śmiechem:

— Jednak wariat. Kim ty w ogóle jesteś?

— Mesjaszem Boga — przedstawił się, czemu zawtórował gromki wybuch śmiechu.

Sporo czasu minęło, zanim zginający się w pół i płaczący ze śmiechu młodzieńcy uspokoili się na tyle, aby można było do nich przemówić ponownie. Gdy to nastąpiło, mesjasz zapytał:

— Nie wierzycie mi?

— Jesteś idiotą? Uwierzymy ci w to, jak sprawisz, że z nieba spadnie deszcz pieniędzy — kpili.

Jednak prorok przyjął to z powagą.

— Jeśli tak mówicie, zdobędę waszą wiarę. — Rozłożył szeroko ręce i w głębokim skupieniu przymknął oczy.

Młodzież na ten widok pogrążyła się w kolejnym napadzie śmiechu, jednak zaraz ucichli jak pod wpływem komendy, bowiem dokoła rozszalała się ulewa monet. Różne nominały uderzały z głośnym hukiem o dachy samochodów, co włączyło kilka alarmów; hałas dodatkowo wzmagają dobiegające spod lokalu piski.

Prześmiewcy wpierw stali jak wryci, nie wierząc własnym oczom, a na sprawcę zamieszania patrzyli ze strachem, ale gdy jeden z nich rzucił się do ucieczki, za jego przykładem poszła reszta. Mesjasz mógł tylko stać i obserwować oddalające się sylwetki.

Z klubu na parking wyległ zaalarmowany krzykami tłum i podniosła się wrzawa. Ludzie dziwili się głośno, ze śmiechem zbierali z ziemi monety i bawili się przy tym jak dzieci. Jednak gdy nad ich głowami pojawiły się wirujące w powietrzu banknoty, atmosfera wesołości momentalnie przeobraziła się w prawdziwe piekło. Rozległy się wrzaski, ludzie niby zwierzęta rzucali się na pieniądze, wyrwali je sobie wzajem, skakali po leżących, a ich oczy świeciły prawdziwym zatraceniem.

Mesjasz, patrząc na to wszystko, uczuł ogromny smutek; widok najgorszych instynktów ludzkich wzbudził w nim wstręt, którego jednak mocno się wstydził. Odwrócił się od zamieszania i starając się nie myśleć, że sam je spowodował, ze wzrokiem wbitym w chodnik ruszył w kierunku centrum.

Kiedy pogrążony w smutku siedział na schodach jednej z klatek długiego bloku, a świat dokoła szarzał wraz z zachodem słońca, zaczepiła go tęga kobieta z torbami pełnymi zakupów w ramionach:

— Przepraszam, czy wszystko z panem w porządku?

Podniósł wzrok na jej dobrotliwą twarz i przegoniwszy ponure myśli, uśmiechnął się serdecznie.

— Oczywiście, wszystko ze mną w porządku. Dziękuję za troskę, siostró.

Kobieta spojrzała na jego bose stopy i zapytała ostrożnie:

— Nie ma pan dokąd pójść?

Zaprzeczył ruchem dłoni.

— Mogę pójść wszędzie, droga siostró. Cały świat stoi przede mną otworem.

To jednak jej nie przekonało i ze współczuciem pokręciła głową. Wahala się przez długi czas, ale w końcu zapytała:

— Jest pan głodny? Może zje pan u nas kolację?

Poruszył się, mile zaskoczony.

— Proponujesz mi wieczerzę? — Gdy kiwnęła głową, uraczył ją promiennym uśmiechem. — W takim razie nie mogę odmówić.

— Więc zapraszam do siebie. Mieszkam na trzecim piętrze. — Wskazała na drzwi, do których przejście zagraadzał, i weszła na pierwszy stopień schodów; on wstał natychmiast i odebrał od niej dwie papierowe torby, aby mogła swobodnie przekręcić klucz w zamku.

Z ogromnym zainteresowaniem przyglądał się wnętrzu mieszkania, do którego weszli. Ściany przedpokoju pokrywała jasna boazeria, a na niskich szafkach stało mnóstwo kolorowych figurek. Później okazało się, że porcelanowe posążki, szklane dzbanuszki i drewniane ikony są tam wiodącym elementem wystroju.

Gdy weszli do przestronnego salonu, z sofy skierowanej na telewizor wstał siwawy mężczyzna; choć nieoczekiwana wizyta zaskoczyła go do głębi, ani na moment nie pozwolił sobie na jakąkolwiek nieuprzejmość.

— Pan zje z nami kolację — wyjaśniła żona, a mesjasz uściśnął żylastą dłoń gospodarza.

— Jestem niezwykle wdzięczny za okazaną dobroć — oznajmił z uśmiechem.

— To nic takiego — wyjąkał skromnie mężczyzna.

Przed pójściem do kuchni gospodyni wskazała na sofę i zaproponowała:

— Proszę usiąść. Kolacja będzie gotowa za dwadzieścia minut.

Mesjasz uklonił się i skorzystał z zaproszenia. Gospodarz również wrócił na swoje miejsce i razem wbili spojrzenia w rozświetlony ekran telewizora.

Po kilku minutach wiadomości, w których mówiono o wojnie, zabójstwie małej dziewczynki oraz korupcji odkrytej na najwyższych szczeblach ministerstwa sprawiedliwości, przysłała pora na mniej drastyczne informacje i prezenterka oznajmiła:

— A teraz o niezwykłym zjawisku, jakie według wielu świadków miało miejsce w pobliżu centrum Jentburga. „Deszcz pieniędzy”, który rzekomo zalał okolicę jednego z tamtejszych lokali rozrywkowych, doprowadził do groźnych zamieszek. Na miejsce zdarzenia przyjechała policja i służby ratunkowe. Do miejskiego szpitala trafiło dwanaście osób, ale na szczęście ich życiu nie zagraża niebezpieczeństwo. — Pojawiły się urywki filmowe z miejsca zdarzenia. Prezenterka wyjaśniła dokładnie przebieg zamieszek i po wypowiedzi jednego ze świadków dodała: — Nikt jeszcze nie wie, co mogło spowodować tę nienaturalną ulewę pieniędzy, ale wstępnie uważa się to za kaprys milionera...

— Heh, deszcz pieniędzy — ozwał się gospodarz. — Kto by pomyślał? Tym bogaczom od majątku w głowach się przewraca.

Przytłoczony poczuciem winy mesjasz pozostawił to bez komentarza. Wkrótce pojawiła się gospodyni i podała do stołu. Gdy mężczyźni przesiedli się na krzesła, oznajmiła, że idzie po Klaudię i zniknęła w przedpokoju. Wróciła z młodą dziewczyną, której długi, jasny warkocz sięgał bioder, a oczy były trwale zamknięte.

Matka poprowadziła ją do stołu i przedstawiła gościowi. Mesjasz podał jej dłoń z uśmiechem na ustach, lecz w głębi serca podzielił jej ból spowodowany kalectwem. Wrócił na swoje miejsce i wspólnie z domownikami odmówił modlitwę dziękczynną.

Kolacja minęła w wyśmienitej atmosferze. Gospodyni dziwiła się na głos, jak tak inteligentny człowiek może być włóczęgą, a ponieważ nie dociekała tożsamości, nie zdążyła uznać go za wariata. Gdy nadszedł czas pożegnania, mesjasz zadał pytanie, które musiało wywołać sporą konsternację:

— Klaudio — zwrócił się do rozpromienionej dziewczyny. — Czy chciałabyś widzieć?

Rodzice zamarli, a mina Klaudii z radosnej przeszła w zakłopotaną.

— Oczywiście, to jest moje największe marzenie. Ale Pan Bóg zdecydował inaczej, a ja nie mam siły zdolnej to zmienić. — Wymusiła uśmiech, lecz reszta twarzy przygasła w żalu.

Mesjasz, głęboko poruszony tą odpowiedzią, podszedł do niej i mimo protestu matki przyłożył do jej powiek dłoń. Dziewczyna zadrżała, a on zabrał prędko rękę i powiedział:

— Więc spójrz.

— Co to ma znaczyć?! — zawołał oburzony ojciec, jednak dziewczyna z ufnością kiwnęła głową.

Jej mimika mówiła sama za siebie - dziewczyna najpierw otworzyła oczy, których tęczęwki miast mętnego miały teraz ostry, zielony kolor, i natychmiast w skrajnym oszołomieniu uniosła brwi. W ułamku sekundy całą jej twarz oblał karmazyn, a broda zmarszczyła się w tłumionym płaczu. Zakryła dłońmi usta i już nie siląc się na powstrzymywanie szlochu, powiedziała łamiącym się głosem:

— Mamo, ja widzę.

Rodzice patrzyli na to oniemiałi. Po bladej twarzy matki płynęły lśniące łzy, ojciec, którego oczy były równie szkliste i czerwone, wyciągał do córki drżącą dłoń. W końcu ochłonął i zwrócił się do mesjasza:

— Kim jesteś? Jak... jak to zrobiłeś? Powiedz, że to nie jest żadna sztuczka. Moja córka... — Dalsze słowa ugrzęzły mu w gardle.

— Jestem mesjaszem Boga i właśnie wykorzystałem drugi z siedmiu powierzonych mi cudów — wyjaśnił ze spokojem.

Wzruszeni rodzice nawet na moment nie podali jego słów w wątpliwość; po tym, czego doświadczyli, byli skłonni uwierzyć we wszystko. Zasypali go gorącymi wyrazami wdzięczności, czemu towarzyszyły obfite łzy. Momentami czuli, jakby to było nierealne, graniczące z pięknym snem, ale radość, która rozpierała ich serca, przepędzała z głowy wszelkie zwątpienie. Dziękowali Bogu w szczerzej modlitwie, co było balsamem dla strapionego dotychczasowymi niepowodzeniami mesjasza. Tym razem był pewny, że swój dar wykorzystał właściwie.

Uszczęśliwieni do granic gospodarze po kolei oferowali mu wszystko, co posiadali, a nawet więcej, ale on przyjął jedynie komplet męskich ubrań. Wkrótce w ciemnych dżinsach, letniej kurtce i brązowych butach opuścił mieszkanie tych miłych ludzi, choć wylewnym pożegnaniom nie było końca, a krok przez próg okazał się najtrudniejszą rzeczą, jaka go do tej pory spotkała. Ostatecznie ruszył w dalszą drogę i z radością pierwszy dzień spędzony wśród ludzi uznał za udany.

Nocą miasto nabierało zupełnie innego wyrazu: ciasno otoczone mrokiem, zdawało się hermetyczne, jakby odcięte od świata zewnętrznego. Rozświetlone mrowiem lamp i kolorowych neonów oddychało własnym rytmem.

Mesjasz, błakając się raz jasnymi, raz ciemnymi ulicami, czuł się mocno zagubiony w tym betonowym świecie; był pewien, że na łonie natury noc byłaby czystą przyjemnością, zaś tutaj, zwłaszcza że nie musiał spać, pozostawało mu snuć się niczym zjawą od jednej przecznicy do następnej i czekać na brzask. Lecz, niestety, tego dnia widok wschodu słońca nie był mu pisany.

Około północy oślepił go blask zbliżających się świateł. Przy chodniku, którym przechodził, zatrzymał się samochód. Gdy ucichł szum silnika, rozległ się dźwięk otwierania drzwi. Do mesjasza podeszło dwóch jednakowo ubranych mężczyzn.

— Dobry wieczór — powiedział rzeško jeden z nich. — Co pan tutaj robi w środku nocy? Otrzymaliśmy skargi, że po tym osiedlu kręci się podejrzana osoba.

Mesjasz uklonił się, zadowolony z tego, że w końcu ktoś postanowił z nim porozmawiać, i odparł z otwartością dziecka:

— Czekam na świt, moi bracia. Chciałbym wam pomóc, ale niestety nie spotkałem żadnej podejrzanej osoby.

Drugi policjant zmrużył jedno oko i rozkazał:

— Proszę się wylegitymować. Sprawdzimy, czy nie widnieje pan w naszej bazie danych.

Mesjasz przechylił lekko głowę i odparł:

— Nie rozumiem.

— Żarty pan sobie stroi? — zdenerwował się policjant. — Proszę okazać dowód tożsamości.

— Dowód tożsamości? Niestety, nie posiadam.

— W takim razie zapraszam do radiowozu; wytłumaczy pan się na komisariacie. — Wskazał na zaparkowane auto.

Mesjasz, zaskoczony, że już po raz drugi tego dnia oferują mu gościnę, uklonił się i powiedział:

— Dziękuję za propozycję, bracia. Z przyjemnością z niej skorzystam.

Policjanci spojrzeli po sobie niepewnie i - mimo nieodpartej chęci zakucia dziwaka w kajdanki - poprowadzili go do radiowozu bez dodatkowych środków ostrożności. Na komisariacie dowiedzieli się, że jest mesjaszem Boga, po czym zamknęli go w areszcie i poinformowali o nim najbliższą placówkę dla obłąkanych. Mesjasz zdumiał się wprawdzie, gdy zaoferowali mu pokój za grubymi kratami, ale nie chciał być nieuprzejmy i podziękował za gościnę.

Okazało się, że cela zajęta już jest przez czterech młodych mężczyzn. Współwięźniowie początkowo podchodzili do mesjasza wrogo, lecz szybko ich nastawienie uległo zmianie. Po długiej rozmowie na temat grzechu i odkupienia winy przekonali się do jego osoby, i chociaż zgodnie uznali go za wariata, to cały czas podkreślali, że to „wariat pozytywny” i przyjmowali rolę wdzięcznych słuchaczy.

Gdy wczesnym rankiem przybyli po proroka pracownicy szpitala psychiatrycznego, wszyscy więźniowie stanęli w jego obronie: krzyczeli o braku sprawiedliwości i zapewniali, że jest niegroźny i z tego względu należy mu się wolność. Nie pomogło to jednak wcale i nieborak został wyprowadzony. Pojechał białą furgonetką poza miasto, do strzeżonego ośrodka, w którego ogrodach i szklarniach pacjenci dla relaksu opiekowali się roślinami.

Szpital okazał się bardzo przyjemnym miejscem. Poza dziwnymi pigułkami, które kazano mesjaszowi łykać, kratami w oknach i niezyczliwym zachowaniem pracowników, wszystko inne dawało mu wiele radości: pacjenci wierzyli jego słowom bez potrzeby okazywania dowodów, większość z nich stale się uśmiechała, a pełen zieleni ogród był cudownym miejscem, w którym można było odpocząć i

pograćzyć się w marzeniach. Pozwolono mu nawet nosić normalne ubranie, czego uparcie się domagał, bowiem za nic nie chciał rozstawać się z darem dobrej rodziny, u której wcześniej gościł.

Choć na pobyt w ośrodku nie narzekał, a pacjenci każde jego słowo brali sobie głęboko do serc i zgodnie nazywali go prorokiem, wiedział, że nie może przebywać tam długo, ponieważ wiąże go niezwykle ważna misja. Spostrzegł też ze smutkiem, że mieszkający w ośrodku ludzie nie są do końca zdrowi: niektórzy cierpieli na nieuzasadnione napady gniewu, inni nie mogli dojść do zgody z rzeczywistością. Kobieta, która trzy lata wcześniej udusiła własne dziecko, nie potrafiła się tym okrutnym czynem przejąć i wciąż powtarzała, że uratowała malucha przed biedą, oraz że mógł dzięki temu reinkarnować w bogatej rodzinie na Wschodzie. Zdziwiła się łzami mesjasza, które popłynęły po jego wstrząśniętym obliczu. Nachyliła się wtedy do niego i otarła chusteczką mokre policzki. Nadal jednak nie pojmowała swojej winy.

W końcu mesjasz postanowił opuścić szpital. Udał się w tym celu do dyrektora ośrodka.

— I jak tam, bezimienny, zdecydowałeś się powiedzieć prawdę? — zapytał mężczyzna z dużym brzuchem i zaniedbanymi włosami.

— Ja zawsze mówię prawdę — odparł mesjasz.

— Tak, tak, jesteś mesjaszem Boga. Ale póki będziesz tak twierdził, ja nie mogę cię wypuścić. Nie zrozum mnie źle, życzę ci jak najlepiej, ale jestem związany przepisami. I nie ma znaczenia, że jesteś tu najnormalniejszym z wariatów, prawo to prawo.

Mesjasz pokręcił głową.

— Ja nie przyszedłem prosić o zgodę. Przyszedłem powiedzieć, że jutro skoro świt wyruszam w drogę.

Dyrektor wybuchnął śmiechem.

— Aha, wobec tego żegnam — zakpił. — I przyślij mi pocztówkę na święta. — Zarechotał ponownie i skinął na pracownika, aby ten wyprowadził pacjenta z gabinetu.

Tego ranka dyrektor przybył do ośrodka w podłym nastroju; przed wyjściem z domu pokłócił się z żoną o jakąś błahostkę i teraz żałował niektórych słów, które w uniesieniu wykrzyczał. Rozsunął żaluzje w oknach i usiadł za biurkiem. Przejechał dłońmi po blacie, jakby witał swoje prywatne sanktuarium, po czym wyjął z szafki markową whisky.

Jeszcze nie zdążył sobie nalać, gdy drzwi otworzyły się z impetem. W panice schował butelkę pod biurko, ale gdy ujrzał przed sobą zdyszanego stażystę, postawił ją z powrotem na blacie, a twarz jego poczerwieniała z gniewu.

— Co to ma znaczyć, Hirsten? — syknął.

— Panie Kremer, nie wiemy, jak to się stało, ale prorok zniknął ze swojego pokoju.

— Jak to zniknął? — wycedził przez zęby. — Nie można tak po prostu sobie zniknąć. Znajdźcie go natychmiast.

Przerażony chłopak wyjąkał niemalże z płaczem:

— Ale szukaliśmy już wszędzie. Jego pokój cały czas był zamknięty, a on po prostu zniknął. — Korzystając z tego, że dyrektor na powrót zajął się butelką, wyjawiał jeszcze gorszą wiadomość: — Panie dyrektorze, bo z pacjentami... Z nimi dzieją się dziwne rzeczy. Zupełnie jakby znormalnieli.

Dyrektor zastygł z butelką przechyloną w powietrzu.

— Co ty bredzisz? Jak to „znormalnieli”? — zapytał z wielkimi oczami.

— Nie wiem, jak inaczej to określić. Po prostu zachowują się normalnie, jakby byli zrównoważeni. Pani Greta wpadła w histerię i błaga o karę śmierci za zabicie syna. Inni zapowiedzieli protest głodowy, jeśli ponownie nie przebadamy ich stanu zdrowia.

Kremer odchylił się na fotelu i przetarł palcami mokre czoło.

— Co... co to ma znaczyć? Nie wierzę ci. Może myślisz, że to ja tu jestem wariatem? Nabijasz się ze mnie, prawda? Powiedz, że się nabijasz. — Spojrzał z nadzieją na stażystę, a ten bojaźliwie pokręcił głową.

— Nie nabijam się z pana, panie Kremer. To wszystko prawda: pacjenci mówią, że prorok ich uzdrowił i wyruszył na spotkanie z naszym władcą. Sam nie wiem, o co tutaj chodzi.

Dyrektor zawiesił przerażone spojrzenie na pracowniku i nalał sobie do pełna.

Mesjasz stał przed szarym gmachem, którego okna w czterech rzędach przecinały całą długość fasady. Przed urzędem powiewało kilka oficjalnych flag przytroczonych do wysokich żerdzi, a trawnikami i niskimi żywopłotami rządziły ład i niezachwiane proporcje. W tej siedzibie musiał przebywać władca, o którym wspominali pacjenci szpitala.

Mesjasz wszedł przez obrotowe drzwi do budynku i zauważył, że nie tylko on ma do burmistrza sprawę, gdyż pod drzwiami kolejnych pokoi oczekiwało ludzisko. Nie wiedział, gdzie się podziać, ale na szczęście za szerokim kontuarem siedziała młoda dziewczyna, która uprzejmie pokierowała go na wyższe piętro. Mesjasz uklonił się w podziękowanie i ruszył tam natychmiast.

Niestety, okazało się, że burmistrz nie może przyjmować nieumówionych petentów, co dobitnie podkreśliła szczupła blondynka zza biurka zawalonego stertą papierów:

— Powtarzam, że nie mogę pana wpuścić, ponieważ burmistrz jest zajęty. Dzisiaj odbywa się konferencja przedwyborcza i pan Morlander nie ma czasu dla interesantów.

— Więc kiedy mogę się z nim spotkać? — zapytał uprzejmie mesjasz.

— Możliwe, że przyjmie pana jutro, ale nic nie obiecuję.

Mesjasz pokiwał ze zrozumieniem głową i oznajmił:

— W takim razie poczekam. Dziękuję za informację. — Cofnął się kilka kroków i stanął pod ścianą.

— Zaraz — zawołała za nim. — Chyba nie chce pan czekać tutaj? Mówiłam przecież, że burmistrz przyjmie pana dopiero jutro.

— Nic nie szkodzi; poczekam do jutra — oznajmił z rozbrajającym uśmiechem.

Kobieta patrzyła na niego podejrzliwie, aż w końcu przeprosiła i poszła do wysokich drzwi ze złotą tabliczką u góry. Zapukała, po czym zniknęła w gabinecie, którego jasne wnętrze na ułamek sekundy śmignęło mesjaszowi przed oczami.

Burmistrz, uznając tę wizytę za dziennikarską prowokację, kazał natychmiast wprowadzić interesanta.

— Jednak pana przyjmie — oświadczyła referentka, kiedy wróciła do holu. — Ale nie ma zbyt dużo czasu, dlatego proszę nie przedłużać rozmowy.

Taki obrót spraw uradował cierpliwie czekającego mesjasza. Podziękował za pomoc i wszedł do gabinetu.

Meble były tam ciemne, solidne i misternie wykończone. W dużych donicach rosły wysokie kwiaty. Burmistrz siedział za mahoniowym biurkiem, zajęty czymś przy komputerze.

Urzędnik był mężczyzną w sile wieku. Nosił granatowy garnitur i krótko przystrzyżoną brodę. Miał czarne włosy, ale wystylizowane w taki sposób, aby wyglądały na lekko posiwiałe. Po wejściu mesjasza oderwał się od monitora i - niby niechętnie przerywając pracę - wstał, poprawił marynarkę i podszedł do gościa, uśmiechając się szeroko.

Przywitał go silnym uściskiem dłoni.

— Witam pana serdecznie. Proszę usiąść. — Wskazał krzesło dla petentów, po czym wrócił na własne miejsce. — Więc w jakiej sprawie mam przyjemność z panem mówić? — Jego uprzejma postawa raziała sztucznością, jakby fałsz polityki miał już we krwi.

— Przyszedłem, aby prosić cię o pomoc, jaśnie burmistrzu — powiedział ze stosownym szacunkiem mesjasz. — Pozwól jednak, że najpierw cię o coś zapytam. Czy pragniesz dobra ludzkości?

Burmistrz zmrużył oczy i teraz już zupełnie przekonany, że ma do czynienia z prowokacją, zapewnił:

— Oczywiście, że tak. Po to właśnie jest mój urząd, aby jak najlepiej służyć obywatelom.

Mesjasz, choć wyczuł w tych słowach nieszczerłość, mówił dalej:

— Więc na pewno leży ci na sercu ich nawrócenie.

— Nawrócenie? — zdziwił się polityk. — To jest temat związany z religią, a nie urzędem państwowym.

Mesjasz pokręcił głową niczym cierpliwy nauczyciel.

— Religia jest efektem, a nie przyczyną nawrócenia — tłumaczył. — To na władcy spoczywa obowiązek właściwego przykładu i poprowadzenia bliźnich w stronę dobra.

— Przestańmy może udawać, dobrze? — zirytował się burmistrz. — Dla której gazety pan pracuje? I czego ta rozmowa ma dowieść?

Mesjasz zmarszczył brwi.

— Nie pracuję dla żadnej gazety. Jestem Bożym posłannikiem.

— To ma być jakiś żart? — oburzył się urzędnik.

— Nie, to nie jest żart. Jeśli nie wierzysz mi, burmistrzu, mam prawo podeprzeć swoje słowa Bożym cudem.

Burmistrz roześmiał się na całe gardło.

— Nie, to są jakieś kpiny. Kto to wymyślił? Drobren? Ten stary błazen...

— Jeśli nie ufasz moim słowom, wybierz cud, a ja go uczynię — przekonywał prorok.

Polityk spojrział na niego i rozbawiony do reszty, postanowił pociągnąć żart dalej:

— A więc mówisz o cudzie, tak? Więc pomóż mi wygrać wybory, bo to niewątpliwie byłby cud. Jeśli tego dokonasz, masz moją pomoc w nawracaniu kogokolwiek.

— Niech więc tak będzie — zgodził się mesjasz i zamknął oczy.

Burmistrz patrzył na to z szerokim uśmiechem i czekał na dalszy ciąg dowcipu, a że znał dobrze radnego Drobrena i jego pomysły, przewidywał coś zabawnego. Nie zdziwił się więc, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Do gabinetu weszła wstrząśnięta czymś referentka.

— Panie burmistrzu, właśnie przysłyły wyniki wczorajszych sondaży — powiedziała z ogromnym przejęciem. — Niech pan na to spojrzysz. — Podeszła do biurka i podała mu kilka arkuszy.

Burmistrz spoglądał z uśmiechem to na nią, to na mesjasza i w końcu rzucił okiem na papiery. Słupki poparcia nad jego nazwiskiem sięgał osiemdziesięciu procent.

— Panią też w to wciągnęli? — zwrócił się do blondynki roześmiany. — Okrutny żart z waszej strony.

Kobieta uniosła w zdumieniu brwi i powiedziała:

— To nie jest żart, panie burmistrzu. Ten faks przysłali przed chwilą z Ośrodka Badań Publicznych. Sama byłam zaskoczona, więc zweryfikowałam to telefonicznie; okazuje się, że nie ma mowy o pomyłce, wyniki są prawdziwe.

Burmistrz patrzył na nią z lekko przechyloną głową i zmrużonym okiem, próbując dać do zrozumienia, że już przejrzał cały dowcip, jednak widok jej poważnej miny zdezorientował go do reszty. Spojrzął na mesjasza ze zmarszczonymi brwiami i odprawił referentkę:

— Dziękuję pani. — Gdy wyszła za drzwi, przemówił poirytowanym głosem: — Nie wiem, o co tutaj chodzi, ale wcale mi się to nie podoba.

— Czy nie tego właśnie chciałeś, burmistrzu? — zapytał mesjasz, zdumiony jego reakcją.

— Chciałem. Ale to nie może być prawda. Musi pan mieć jakieś znajomości w OBP, to oczywiste, ale nie rozumiem, po co to wszystko. Pracuje pan dla kogoś?

— Tak — potwierdził. — Dla samego Boga. A ty, burmistrzu, obiecałeś mi pomoc w nawróceniu twego ludu.

— Jakiego mojego ludu?! — zawołał w uniesieniu burmistrz. — Ja nie mam żadnego ludu! Czy pan w ogóle jest normalny?

— Więc nie jesteś władcą tej krainy? — zdziwił się mesjasz. — W takim razie kto sprawuje u was rządy?

Burmistrz zakrył dłonią twarz.

— To lud sprawuje rządy! — odparł wściekle. — Pytam raz jeszcze: co to wszystko ma znaczyć?

Mesjasz zmarszczył czoło i przemówił do siebie:

— Lud rządzi sobą? Nie ma przywódcy? Autorytetu? Przecież to niezgodne z naturalnym porządkiem...

— Co pan plecie? Skończyłem już z panem! Nie mam ochoty na dalszą dyskusję!

Mesjasz spojrział rozmówcy w oczy.

— Przepraszam, że wzbudziłem w tobie gniew, burmistrzu. Proszę cię tylko o jedną radę - powiedz mi, jak mogę przemówić do ludu?

— A idź pan na jakąś paradę albo mecz piłkarski! Byle z daleka od tego gabinetu!

— Tak zrobię. — Wstał i ruszył do wyjścia, pozostawiając burmistrza w stanie skrajnego zdenerwowania.

O paradzie nikt z przechodniów nie słyszał, ale mecz piłkarski miał się rzekomo odbyć na stadionie miejskim w godzinach wieczornych. Udał się więc mesjasz do areny i tam czekał na początek zawodów. Wkrótce zobaczył, jak trybuny zapełniają się kolorowymi tłumami, i usłyszał, jak podnosi się żywiołowy gwar z tysięcy gardeł. Rozległy się śpiewy, a nad głowami widzów załopotwały ogromne transparenty.

Cały stadion wrzał, lecz przez ten hałas przebijał się wyraźny głos spikera, któremu mocy dodawały liczne głośniki. Mesjasz upatrzył w tym idealny sposób na przemówienie do zebranych, więc czym prędzej ruszył do strzeżonej loży komentatorskiej.

— Kto pana tu wpuścił? — zdumiał się mężczyzna siedzący najbliżej spikera.

— Nikt — odrzekł spokojnie mesjasz. — Sam tutaj przyszedłem, aby prosić was, bracia, o pomoc.

— Ale tutaj nie można przebywać. Proszę wrócić na trybuny.

Jednak tym razem mesjasz był zdeterminowany i nie myślał ustępować komukolwiek.

— Nie wrócę na trybuny — oświadczył.

Spojrzał na pochłoniętego pracą spikera - okazało się, że jego głos potęguje niewielkie urządzenie. Zwrócił się więc do niego:

— Bracie, pozwolisz mi skorzystać z tego instrumentu?

Spiker, skończywszy wymieniać składy drużyn, odruchowo zakrył mikrofon dłonią i odwrócił się do natręta.

— Przeszkadza mi pan — zgromił go. — Jeśli pan stąd nie wyjdzie, pošlę po ochronę.

Mesjasz zrozumiał, że od nikogo z obecnych nie otrzyma pomocy, więc wziął sprawy w swoje ręce -

przemówił, a słowa jego mimo braku mikrofonu popłynęły ze wszystkich głośników:

— Ludu Boży, wysłuchaj mnie — donośny głos przetoczył się ponad trybunami, a gdy dotarł do uszu zebranych, wszechobecna wrzawa przycichła.

Obecni w loży komentatorskiej delegacji oderwali oczy od ekranów laptopów i w osłupieniu patrzyli na mówcę.

— Jak pan... — zaczął spiker, ale zamilkł, bo ponownie rozległ się głos mesjasza:

— Błędzicie okrutnie, bracia i siostry. Błędzicie, ponieważ błąd jest wpisany w waszą naturę. Lecz ja przychodzę do was ze słowem Bożym, aby wskazać wam właściwą drogę życia. Wybierzcie cud, a ja wam unaocznę moc waszego Pana.

Ludzie początkowo patrzyli po sobie zdumionymi oczami, ale prędko uznali dziwną przemowę za żart organizatorów i zapanowała atmosfera wesołości. Postać mesjasza pojawiła się na wielkich telebimach, co natychmiast skwitowano gromkimi oklaskami. Ze wszystkich stron padały propozycje cudów, przy czym najczęściej dotyczyły wygranej gospodarzy.

Spiker nie mógł pojąć, dlaczego intruz przemawia bez żadnego nagłośnienia, więc również uznał to za wybieg swych pracodawców, i choć w głębi duszy wściekł się o niewtajemniczenie go w projekt, przemówił do mikrofonu z dobrze udawanym rozbawieniem:

— Tak jak słyszeliście, moi drodzy, możemy zażyczyć sobie dowolnego cudu; oczywiście nie dotyczy to fanów drużyny przyjezdnej...

— Dotyczy to wszystkich — wtrącił mesjasz.

— Tak, dotyczy to wszystkich — powtórzył mocno rozdrażniony spiker. — Ale to przewaga głosów zdecyduje, jakiego cudu będziemy świadkami. A więc kto jest za zwycięstwem AC Jentburg? — Zawtórowała mu ogromna wrzawa. Ludzie krzyczeli, gwizdali, ale nikt słów mesjasza nie traktował poważnie. Zasmucony tym faktem posłannik Boży przemówił ponownie:

— Nie uczynię tego, ponieważ w ten sposób nie zdobędę waszej wiary. Poproście o coś innego.

Spiker zaśmiał się sztucznie i zirytowany tym brakiem profesjonalizmu, oświadczył:

— Jeżeli zwykła wygrana naszej ukochanej drużyny nie przekona nas do wiary, to na pewno pomoże w tym zwycięstwo osiem do zera. Chyba że nasz cudotwórca woli zmienić płytę boiska w jezioro? — ironizował.

— Niech tak będzie — zgodził się mesjasz i zamknął oczy w głębokim skupieniu.

Kibice widzieli doskonale wszystkie jego ruchy na dużych ekranach, ale wkrótce ich oczy zwróciły się na murawę, a usta zamilkły.

Na samym środku boiska wystrzelił w powietrze potężny gejzer. Piłkarze i pracownicy obsługi technicznej umykali przed wodą na trybuny, ponieważ jej poziom sięgał powoli szczytów reklamowych banerów. Wśród przerażonej widowni rozległy się krzyki i piski. Zszokowany spiker starał się opanować sytuację:

— Uwaga, prosimy o spokój; nie ma żadnego zagrożenia. Wszystko jest pod kontrolą organizatorów — mówił, choć sam w to nie wierzył. Zwrócił się ze złością do mesjasza: — Co to ma znaczyć? Kto za

tym wszystkim stoi?

— Nie rozumiem — zdumiał się prorok. — Poprosiłeś przecież o jezioro, więc spełniłem to życzenie.

Spiker spojrział w równie przestraszone oczy zebranych w pomieszczeniu ludzi. Przełknął ślinę i oznajmił stanowczo:

— Nie wiem, o co tutaj chodzi, ale nie ruszysz się stąd na krok, rozumiesz? Poczekasz na policję i oni wszystko wyjaśnią. Jeśli faktycznie stoją za tym organizatorzy, to będą mieli poważne kłopoty...

Mesjaszem wstrząsnął żal, jakiego nigdy jeszcze nie doznał; skrył w dłoniach twarz i zapytał rozpaczliwie:

— Dlaczego we mnie nie uwierzycie? Co mam uczynić, żeby was przekonać? Wykorzystałem już pięć cudów, a wy nadal nie akceptujecie mego posłannictwa. Co mam zrobić, żeby was nawrócić? — Mówił to tak dramatycznym głosem, że wszyscy wkoło patrzyli na niego z nabożnym szacunkiem.

— Nie wiem, o czym ty mówisz, człowieku, ale mnie nie omamisz — wymamrotał spiker. — Nie mam pojęcia, jak to zrobiłeś, ale jak dla mnie zaszło tu przestępstwo. Masz czekać na policję i przed nimi będziesz się tłumaczył.

Mesjasz spojrział z zalem na ewakuujące się trybuny i pochylił głowę; po jego policzkach spłynęły łzy, które ostatecznie ginęły w splotach jasnej brody. Odwrócił się i bez słowa ruszył do wyjścia. Ludzie zebrani w loży próbowali go zatrzymać, ale ponieważ nikt nie odważył się na użycie siły, po chwili zupełnie zniknął im z oczu. Szukano go później przez długi czas, lecz przepadł jak kamień w wodę i nikt z pytanych nie był w stanie wskazać kierunku, w jakim się udał.

Pogrążony w transie, siedział na szczycie Mitre Peak i podziwiał ognisty pomarańcz zachodzącego słońca mieszający się z niebieskim horyzontem Oceanu Indyjskiego. Wschód ciemnożółtej gwiazdy urzekał go z kolei na tanzańskiej sawannie, gdzie cały nieboskłon zabarwił się na czerwono. Mesjasz z rozmiłowaniem poznawał uroki pięknej Ziemi, ale jednocześnie nie mógł przestać martwić się o jej mieszkańców. Przepraszał Boga za własną bezsilność i prosił żarliwie o pomoc w zjednaniu sobie ludzi. Był przekonany, że samotnie nie zdoła skłonić ich do przejrzania na oczy.

Gdy przechadzał się brzegiem jeziora Nordenskjold, które, otoczone zwartą ścianą gór, marszczyło się pod silnymi podmuchami wiatru, naszała go nieodparta pokusa, aby udać się na przeciwległy łąd. Zszedł też kamienistym osuwiskiem do jasnej tafli i postawił na niej stopę. Wzbudziło to ogromną sensację wśród biwakujących nieopodal turystów. Natychmiast w ruch poszły aparaty i kamery.

Mesjasz, nie zważając na nic poza pięknem przyrody, szedł powoli przed siebie, otoczony jedynie pofałdowaną taflą wody. Wiedział, że wkrótce jego czas na ziemi dobiegnie końca, chciał się więc nacieszyć tym wspaniałym światem do granic.

Zanim wrócił do państwa, w którym jego wędrówka miała swój początek, przez okrągły miesiąc podróżował między kontynentami. I choć nie podejmował żadnych starań, aby przekonywać do siebie kogokolwiek, zauważył z rosnącym sercem, że u spotykanych ludzi wzbudza coraz większe zainteresowanie. Wielu, w szczególności młodych, zagadywało go w rodzimych językach i wspominało coś o popularności w Internecie. Dowiedział się, że posiada własny portal, na którym gromadzone są materiały związane z jego cudami, a wiele osób z całego świata loguje się na serwerze jego wyznawców. I choć nic z tego mesjasz nie mógł zrozumieć, cieszył się niezmiernie, że coraz więcej ludzi otwiera się na jego nauki.

Dodatkowo w Jentburgu popularność mesjasza była tak duża, iż za każdym razem, gdy rozmawiał z jakimś przechodniem, powiększał się wokół niego tłum zafascynowanych słuchaczy. Po dwóch dniach pobytu w mieście utworzyła się nawet grupka wiernych uczniów, która towarzyszyła mu na każdym kroku. W grupie tej obecna była spotkana niegdyś rodzina, większość byłych pacjentów szpitala psychiatrycznego, a nawet sam dyrektor tegoż szpitala, który zapewniał płomiennie, że pod wpływem proroka odstawił alkohol i przestał zdradzać żonę.

Mesjaszowi to wszystko dawało wiele szczęścia, ale nadal nie spełniało jego posłannictwa. Musiał dotrzeć do o wiele większej rzeszy ludzi, aniżeli tylko mieszkańców jednego miasta. Na szczęście w głowach jego uczniów zrodził się obiecujący pomysł:

— Powinieneś dokonać jakiegoś wielkiego cudu, który zarejestrują media. Wtedy każdy ci uwierzy — oznajmił niski brunet.

— Tak, to by na pewno pomogło — zgodziła się z entuzjazmem jego partnerka.

Mesjasz zmarszczył czoło i zapytał:

— Ale jakim cudem mogę sobie je zjednać?

— Może jakimś na wzór biblijnych? — zaproponował czarnoskóry chłopak. — Mojżesz sprawił, że Morze Czerwone rozstało się przed wszystkimi Żydami - gdybyś zrobił coś podobnego, nikt by już nie wątpił w twoje słowa.

— Myślę, że mogę tak uczynić — zgodził się prorok.

Uczniowie przyjęli to z radością.

— W takim razie musimy wszystko zorganizować — oświadczył pomysłodawca. — Jeśli kamery zarejestrują taki cud, będziesz na ustach całego świata. Wtedy każdy człowiek przyjmie twoje nauki.

Zamiar był bardzo dobry, więc zabrali się za jego wykonanie z olbrzymim zapałem. Ustalili czas i miejsce dokonania cudu, a informacja ta błyskawicznie obiegła cały glob. Miało to być wydarzenie na miarę tysiąclecia, więc zainteresowanie urosło do niezwykłych rozmiarów - na umówionej plaży już na kilka dni przed wyznaczonym terminem koczowały tysiące ludzi, a z każdą godziną przybywało ich więcej.

Pojawili się liczni dziennikarze z profesjonalnym sprzętem, aby poprowadzić transmisję na żywo do swoich krajów. Gdy wreszcie na miejscu pojawił się mesjasz, zebrane tłumy ogarnęła fala euforii - ludzie chcieli choć z daleka ujrzeć go na własne oczy i posłuchać, co ma do powiedzenia. Nagłaśniano więc każdą jego przemowę, a tuż przy brzegu morza wzniesiono wysokie rusztowanie, z którego, widoczny dla wszystkich, miał uczynić hucznie zapowiadane zjawisko. Ludzie czekali na tę chwilę z niecierpliwością, i choć wielu do plotek o jego cudach podchodziło z dystansem, każdy czuł, że będzie świadkiem czegoś wyjątkowego.

Wreszcie nadszedł moment, w którym zagadka miała się wyjaśnić, toteż wszystkie oczy skupiły się na morskich falach. Mesjasz stał na wysokim podeście twarzą do bezkresu wody i przez chwilę przyglądał się hałaśliwym helikopterom, które krążyły nad nim niby sępy nad padliną. W końcu rozpostarł szeroko ręce i zamknął oczy. Naraz uderzające o plażę fale ustały, a woda jakby rozpychana ogromną siłą zamiast do przodu zaczęła przeć na boki.

Przez zgromadzone tłumy przetoczył się głośny pomruk zdumienia. Nawet ci, którzy bezgranicznie wierzyli w spełnienie zapowiedzi, na nadprzyrodzone zjawisko patrzyli w osłupieniu. Wąwóz, który

powstał w masach spienionej wody, pogłębiał się z każdą sekundą, aż w końcu odsłonił piaszczystą dolinę ciągnącą się po sam horyzont. Jej ogrom zapierał dech w piersi. Ludzie łapali się za głowy, padali na kolana i wznosili żarliwe modlitwy do Boga. Podniósł się masowy lament, ponieważ wielu nie mogło powstrzymać płaczu. Morze rozstało się na ich oczach, jak i na oczach setek milionów zszokowanych widzów przed telewizorami. Mesjasz dowiódł swojego posłannictwa i nie było jednego człowieka, który nie uznałby go teraz za świętego.

Cudotwórca w końcu pozwolił wzburzonej wodzie na powrót zalać głęboki korytarz. Gdy pierwszy szok zgromadzonych minął, na plaży wybuchło olbrzymie zamieszanie. Każdy chciał się dostać do mesjasza, powiedzieć mu parę słów, ujrzeć go z bliska. Natężenie krzyków było tak silne, że wydawało się, iż mogą je usłyszeć ludzie po drugiej stronie morza.

Wkrótce przez straszliwą wrzawę przebił się ryk wojskowego helikoptera. Z megafonu rozbrzmiał dobrze wszystkim znany głos:

— Proszę zachować spokój! Mówi premier Finan Gronhold! Proszę zachować spokój! Za chwilę wkroczy armia, więc proszę zachować spokój!

Ostrzeżenia powtarzały się co chwilę, a na tyłach tłumów faktycznie pojawili się uzbrojeni żołnierze. Ludzie wrzeszczeli, jakby zagrażało im niebezpieczeństwo, a wojskowi robili, co tylko mogli, aby przerażonych cywilów uspokoić.

Największe zamieszanie powstało wokół konstrukcji, na której stał mesjasz, ponieważ do lądowania podchodził tam czterowirnikowy śmigłowiec. Ludzie uciekali w popłochu na boki, ale że z każdej strony przejście zagradzał im tłum, tratowali się wzajem w panice, tracąc wszelką orientację. Dopiero gdy z zawieszzonego nad ziemią boeinga zjechał na linkach oddział komandosów, sytuacja została opanowana na tyle, aby kolos mógł osiąść bezpiecznie na piachu.

Do mesjasza podbiegła grupa uzbrojonych żołnierzy.

— Musi pan pójść z nami! — zawołał jeden z nich, starając się przekrzyczeć hałas.

— Gdzie chcecie mnie zabrać? — zapytał spokojnie.

— Do bastionu w stolicy! — odkrzyknął. — Grozi panu niebezpieczeństwo ze strony tłumy, dlatego musimy pana stąd wydostać! Na miejscu spotka się pan z premierem!

Mesjasz pojął, że chodzi o ważną w kraju osobę, więc bez protestu dał się poprowadzić do śmigłowca. Eskortujący go komandosi weszli na pokład za nim i maszyna uniosła się w powietrze, aby w krótkim czasie zniknąć za dachami kurortów.

W bastionie panowało niezwykle ożywienie - wszyscy już wiedzieli, że oto ujawnił się prawdziwy mesjasz, i ze wszystkich kierowanych na niego oczu bił bezgraniczny podziw albo strach.

Do dyspozycji otrzymał wielki salon, wypełniony obrazami w rzeźbionych ramach, antycznymi meblami i innymi przejawami rzadko spotykanego przepychu. Podano mu iście królewski posiłek, a obsługujący go ludzie co chwilę wyrażali gotowość do spełnienia każdego życzenia. Jednak nikt nie potrafił wytłumaczyć przyczyny sprowadzenia go do rządowego gmachu, a pytani o premiera, oznajmiali, że znajduje się obecnie na ważnej naradzie i przybędzie zaraz po jej zakończeniu. Czekał więc mesjasz cierpliwie, a czas umiłał sobie widokiem ruchliwej ulicy, która biegła przed bastionem i była doskonale widoczna przez jego wysokie, łukowate okna.

Wreszcie, po niemal trzech godzinach oczekiwania, oznajmiono przybycie szefa rządu. Okazało się, że posiwiały mężczyzna o jastrzębim spojrzeniu nie jest sam, lecz w towarzystwie dwóch dystygowanych mężów – jeden nosił ciemnoniebieski mundur z wieloma odznaczeniami, drugi krwistoczerwoną sutannę z białymi, koronkowymi elementami. Ten ostatni przeżegnał się na wzór krzyża i powitał mesjasza Bożym pozdrowieniem. Zaraz po tym wszyscy zasiedli przy dębowym stole.

Jako pierwszy przemówił premier:

— Od razu chciałbym przeprosić, że tak długo kazaliśmy na siebie czekać, ale powstało zamieszanie, które wymagało natychmiastowej reakcji z naszej strony. Ludzie sądzą, że porwaliśmy pana wbrew woli i teraz więzimy, co jest oczywistym nonsensem. Przedstawiam panu ojca Nazareta, kardynała kościoła rzymskokatolickiego. — Wskazał na mężczyznę o popielatych włosach i szerokiej szczęce, a ten uklonił się unieżenie. — Generał Henrikson zajmuje urząd naczelnego dowódcy sił zbrojnych, a ja nazywam się Finan Gronhold i jestem prezesem rady ministrów.

— Jesteś władcą tej krainy? — zapytał z nadzieją mesjasz.

— Każdy z nas na swój sposób jest władcą — odrzekł premier. — Dlatego właśnie na nas spoczywa rozwiązanie tej... delikatnej sprawy. A więc, przechodząc do rzeczy, twierdzi pan, że jest posłannikiem Boga, w którego, o zgrozo, wcześniej nie wierzyłem?

— Skończyłbyś z tym, Finanie — wtrącił kardynał. — Ten cud był rozstrzygającym dowodem. Syn Boży powrócił i nic nie powstrzyma Sądu Ostatecznego.

Premier spojrział na mesjasza z lękiem.

— Czy to prawda? — zapytał. — Bóg postanowił zniszczyć świat?

— Zniszczyć? — zdziwił się mesjasz. — Dlaczego Stwórca miałby niszczyć własne dzieło? Kiedy wasz świat się skończy, będzie to naturalna kolej rzeczy; Bóg troszczy się wyłącznie o istnienie, nie o jego koniec.

Choć mężczyźni niewiele z tego zrozumieli, premier odetchnął z ulgą.

— Więc nie ma się czego obawiać. Przyznam, że niezmiernie mnie pan ucieszył. Ale, w takim razie, co jest pańskim celem?

— Nawrócenie ludzkości — odparł. — Aby tego dokonać, otrzymałem prawo siedmiu cudów.

Oczy premiera załśniły w uniesieniu.

— To znaczy, że może pan jeszcze uczynić dowolny cud?

— Tak, pozostał mi jeszcze jeden — potwierdził mesjasz. — I uczynię, co zechcecie, jeśli pomożecie mi nawrócić ludzkość.

Kardynał ożywił się.

— Niech więc cały świat nawróci się na chrześcijaństwo — zaproponował. — Przecież o to właśnie chodzi, prawda?

Mesjasz zmarszczył surowo brwi.

— Dlaczego sądzisz, że sensem nawrócenia jest religia, którą wyznajesz? Przecież, choć jesteś jej

kapłanem, sam błędzisz nie mniej od pozostałych. To nie w bliskich ci wyobrażeniach Stwórcy leży Jego droga, ale w prawdziwej wierze przekutej na właściwe postępowanie.

Kardynał oburzył się i zaznaczył z wyciągniętymi przed siebie dłońmi:

— Przecież mówiłeś, że możesz dokonać wszystkiego. Dlaczego nie sprawisz, żeby po prostu...

— Dosyć, kardynale — przerwał mu szorstko generał o marsowej twarzy. — Twoje religijne ambicje nie mają dla nas praktycznego przekładu. Wiesz doskonale, że obecnie prowadzimy kilka wojen z pustynnymi krajami. Potrzebujemy silnej armii. Jeżeli zwyciężymy, to twoi heretycy ulegną nam cywilnie i ekonomicznie, a nie tylko religijnie. Potrzebujemy teraz ropy i nowych rynków zbytu, tylko to się liczy.

Mesjasz pokręcił ze smutkiem głową.

— Wy, ludzie, zawsze popełniacie ten sam błąd: chcecie własne zasady siłą dyktować innym. A przecież sam Bóg dał wam przykład - otrzymaliście wolną wolę i na wiele sposobów możecie grzeszyć wobec Niego. Nie zakuł was w kajdany, nie narzucił wam własnego zdania, a ja, Jego jedyny posłannik, mogę tylko błagać o nawrócenie i świecić wam dobrym przykładem. Z Jego łaski wyłącznie wasza łaska jest w stanie zmienić kierunek, w którym zmierza ten świat.

Odpowiedź mesjasza wyprowadziła generała z równowagi.

— Myślisz, że możesz się o nas wypowiadać w ten sposób? Ty w ogóle nie rozumiesz naszego świata...

— Nie, to wy nie rozumiecie własnego świata i siebie nawzajem. Od zawsze pragniecie spokoju i bezpieczeństwa, a wszczynacie wojny, które je burzą - czy nie nazwałbyś tego brakiem zrozumienia?

— Nie próbuj narzucać mi swojego sposobu myślenia! — wykrzyczał ze złością żołnierz, ale prędko zainterweniował premier:

— Proszę o spokój, panie Henrikson. Nie jesteśmy tu po to, aby wdawać się w awantury. Jeśli możemy zażyczyć sobie tylko jednego cudu, musimy poważnie przemyśleć sprawę i skonsultować ją z parlamentem.

— W którym większość ma twoja partia — zauważył z goryczą kardynał. — Decyzja i tak będzie należała do ciebie, premierze.

— Nie w tym rzecz — zaprzeczył. — To jest zbyt ważna kwestia, żebyśmy mogli o niej decydować za plecami senatu. Musimy też poinformować media; jak pan myśli, kardynale, jak wypadnę w oczach wyborców, jeśli to wszystko zataję?

— No tak, przecież o to właśnie w tym wszystkim chodzi — przemówił generał. — Nie możesz stracić cennych głosów, prawda? Więc znowu wykonasz coś pod publikę. A wszystko po to, żeby zdobyć kolejne cztery lata iluzorycznej władzy. Nienawidzę tego twojego populizmu.

— Ale dzięki temu populizmowi jesteś naczelnym dowódcą armii, Klaud. Więc bądź łaskaw nie oceniać moich posunięć — odwarknął premier.

Te przepychanki niewątpliwie zaostrzyłyby się, gdyby nie rozbrzmiał cichy głos mesjasza:

— Dlaczego? — zapytał z opuszczoną głową, a obecni zwrócili nań uwagę. — Co się z wami stało, że

już nawet nie przyświeca wam wspólny cel? Gdzie się podziały wasze ideały i cnoty? Z jakiego powodu prosicie o wojnę zamiast o pokój? Dlaczego władca nie pragnie jedynie dobra swego ludu? Czy zmieniliście się aż tak bardzo?

Mężczyźni wysłuchiwali tego w zakłopotaniu - na chwilę zapomnieli, z kim mają do czynienia, i dali się ponieść emocjom.

— Przepraszam — przemówił w końcu premier. — Nie powinniśmy prowadzić rozmowy w ten sposób. Jak powiedziałem, decyzja zapadnie na nadzwyczajnym posiedzeniu parlamentu. Do tego czasu chciałbym, aby pozostał pan w bastionie; to dobrze strzeżony obiekt i nikt tu nie będzie pana niepokoił. Jeszcze dzisiaj zwołam konferencję i wyjaśnię wszystko społeczeństwu. Czy zgadza się pan na to?

Mesjasz potwierdził lekkim kiwnięciem głowy, ale nie odezwał się już słowem. Gdy mężczyźni opuścili przestronny salon, wrócił do wysokiego okna i ze wzrokiem wbitym w błękit nieba rozmyślał nad wszystkim, co się do tej pory wydarzyło.

Zamiast w uczuciu spełnienia, pogrążał się w coraz większym smutku. Informacja o ostatecznym cudzie i miejscu pobytu mesjasza została ujawniona, toteż na ulicy, którą widział z okna, zebrały się rozkrzyczane tłumy. Jedni wołali o uzdrowienie, inni o pokój na świecie, jeszcze inni o zniknięcie głodu, a wszyscy wypisywali swe postulaty na trzymany nad głowami transparentach. Mesjasz dostrzegł prośby o zatrzymanie globalnego ocieplenia, ratunek zagrożonych gatunków, rozum dla polityków, a nawet tak bezczelne jak osobiste bogactwo czy nieśmiertelność, ale żadnej z nich nie myślał spełniać. Czekał na decyzję premiera, która przeciągała się w czasie ze względu na żywiołowe debaty, jakie w ostatnich dniach wstrząsnęły opinią publiczną. Ludzie, którzy w normalnych warunkach zgodnie uznaliby go za wariata, teraz z całą energią starali się o jego przychyłność. W kraju ogłoszono stan wyjątkowy i przeprowadzano w pośpiechu mobilizację armii, ponieważ inne państwa również rościły sobie prawo do mesjasza, grożąc wręcz atakiem zbrojnym. Ludzkość zamiast nawrócić się, pogrążała się powoli w nowym konflikcie.

Mesjasz nie mógł tego wszystkiego znieść, ale ponieważ posiadał jeszcze cień wiary w ludzkie opamiętanie, całym sercem pragnął doprowadzić sprawę do końca. Niestety, jego nadzieje ostatecznie rozwiął sam premier, który o czwartej nocy wszedł zdyszany przez dębowe drzwi salonu i stanął przed mesjaszem. Był niezwykle zdenerwowany, a twarz miał bladą niczym maska.

— Zdecydowałem — oznajmił drżącym z przejęcia głosem.

— Więc jaki cud mam spełnić? — zapytał w ożywieniu mesjasz.

— Chcę, abyś dał mi władzę nad światem — odrzekł i zawiesił nieruchomy wzrok na proroku.

Mesjasz patrzył przez chwilę w przepelnione chorą ambicją oczy polityka i z całych sił powstrzymywał się od płaczu. Nie odpowiedział nic, tylko wrócił do okna, gdzie pogrążył się w posepnych rozmyślaniach.

Premier odchrząknął niepewnie i zapytał:

— Możesz to zrobić, prawda? — Gdy mesjasz zbył to milczeniem, zamrugał nerwowo, i tracąc resztki odwagi, wybiegł na korytarz.

Mesjasz pozostał przy oknie i obserwował uśpione miasteczko aktywistów zgromadzonych przed

budynkiem. Gorliwsi z nich niedaleko rozłożystego dębu wzniesli wysoki ołtarz, ozdobiony tiulem i kwiatami, który miał wyrazić ich oddanie. Jednak ten widok, miał radować Bożego posłannika, wypełniał jego serce goryczą: z całych sił starał się nauczyć ludzi bycia oddanym jednemu Bogu – Stwórcy wszystkiego, co widzialne i niewidzialne – a oni jak zwykle przyjęli to na swój wypaczony sposób. Doszedł do wniosku, że nie ma dla niego miejsca wśród tych istot, a w sercach tych istot nie ma miejsca na prawdę.

Gdy ten wniosek spadł na niego z pełnią siły, w rozpaczy przyznał się do swojej porażki. Padł na kolana i płacząc rzewnie, wznosił ręce ku niebu.

— Panie, zawiodłem ciebie i twoje dzieci! — wykrzyczał rozdzierająco.

W głowie jego niczym huk rozbrzmiał święty głos:

— Non, mi fili, nos prodimur ab eis.

Uspokoił się i wstał. Najchętniej podjąłby się ostatniej próby ratowania ludzkości, ale jeśli sam Bóg uznał sprawę za przegraną, on również wyzbył się wszelkich złudzeń. Mógł tylko stać i patrzeć na tłumy, które przysły do niego z samymi roszczeniami, zapominając przy tym, o ile bardziej istotna jest wdzięczność za rzeczy już otrzymane.

Mesjasz zniknął ze świata równie nagle, jak się w nim pojawił. Pozostał mu jeden niewykorzystany cud, którego nie oddał żadnemu człowiekowi, ale w ostatnich sekundach pobytu na Ziemi spożytkował na własne życzenie: sprawił, że ludzie po raz pierwszy w swych dziejach zrozumieli się nawzajem. Chrześcijanie zrozumieli muzułmanów, a muzułmanie zrozumieli chrześcijan; zapanował między nimi pokój oparty o wspólnego przecież Boga. Władza zrozumiała potrzeby ludu, a lud rozumiał pobudki dążących do władzy; rozpoczęła się era wielkich przywódców, którzy obierani byli na podstawie cnót i idei, a nie z premedytacją wykreowanego wizerunku. Naród rozumiał naród, jego prawa i obyczaje; już nigdy nie wybuchła wojna, w której bliźni zabijałby bliźniego. Człowiek rozumiał człowieka, jego pragnienia, dążenia, jego krzywdę i wewnętrzne piękno; zapanowała powszechna sprawiedliwość, a kłamstwo i nieporozumienie na zawsze zniknęły z ludzkiego życia. To wszystko mogło nastąpić jedynie za sprawą wspaniałego cudu. Ale odpowiedz sobie szczerze, mój bracie lub siostrze, czy ktoś wierzy jeszcze w cuda?